

SIOSTRA BURZY

— SIEDEM SIÓSTR —

LUCINDA RILEY

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE STORM SISTER (BOOK 2)

Copyright © Lucinda Riley 2015
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Marzenna Rączkowska & Maria Pstrągowska 2017

Redakcja: Katarzyna Kumaszevska

Zdjęcia na okładce: © Alamy/BE&W, Shutterstock, Dreamstime

Projekt graficzny okładki: Pan Macmillan

Opracowanie okładki polskiej: Katarzyna Meszka-Magdziarz

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

Morze Egejskie

Zawsze będę dokładnie pamiętać, gdzie dowiedziałam się o śmierci ojca i co wtedy robiłam.

Leżałam naga w słońcu na pokładzie *Neptuna*, a na moim brzuchu spoczywała opiekuńcza dłoń Theo. Przed sobą mieliśmy łuk połyskującej złotym piaskiem opustoszałej plaży, która wtuliła się między skały zatoczki na wyspie. Krystalicznie czysta, turkusowa woda leniwie układała się w fale, które rozbijając się o brzeg, tworzyły piankę jak w cappuccino.

Cisza, pomyślałam. Jak w moim sercu.

Poprzedniego wieczoru o zachodzie słońca zarzuciliśmy kotwicę w zatoczce niewielkiej greckiej wyspy Macheres, a potem, brodząc w wodzie i niosąc dwie łódki turystyczne, doszliśmy do plaży. Jedna była pełna świeżych cefali i sardynek, które Theo złowił w ciągu dnia, a druga – wina i wody. Dysząc z wysiłku, postawiłam swoją na piasku, a Theo czule pocałował mnie w nos.

– Jesteśmy rozbitkami na naszej własnej bezludnej wyspie – powiedział i szeroko rozpostarł ramiona, wskazując idylliczną scenę. – Pójdę po chrust, to upieczemy ryby.

Patrzyłam, jak odwraca się ode mnie i idzie w stronę skał tworzących półokrąg wokół zatoczki. W ich rozpadlinach tu i ówdzie rosły suche krzaki. Theo był światowej klasy żeglarzem, ale po jego delikatnej posturze nie było widać koniecznej do tego siły. W porównaniu z mężczyznami, z którymi żeglowałam podczas zawodów – z prężącymi się pod skórą mięśniami i klatkami piersiowymi rozbudowanymi jak u Tarzana – był drobny. Pierwszym, co u niego zauważyłam, było to, że leciutko utykał. Potem opowiedział mi,

że w dzieciństwie spadł z drzewa, złamał nogę w kostce i źle mu się zrosła.

– Jest to chyba jeszcze jeden powód, dla którego moim przeznaczeniem stało się życie na wodzie – dodał. – Na łodzi nie widać tego tak jak na lądzie.

Upiekliliśmy ryby, a potem kochaliśmy się pod gwiazdami. Następny dzień miał być naszym ostatnim wspólnym dniem na jachcie. Zanim uznałam, że absolutnie najwyższy czas nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym i włączyć telefon – w wyniku czego dowiedziałam się, że moje życie rozbiło się na milion kawałeczków – leżałam przy Theo w poczuciu idealnego spokoju, przypominając sobie, jak w surrealistycznym śnie, wydarzenia, które zawiodły nas w to piękne miejsce...

*

Po raz pierwszy zobaczyłam go rok temu na regatach Heinekena na karaibskiej wyspie Sint Maarten. Zwycięska załoga świętowała swój sukces uroczystą kolacją. Zaintrygowało mnie, że ich kapitanem jest Theo Falys-Kings. W świecie żeglarskim stał się celebrytą, bo od pięciu lat nie było kapitana, który doprowadziłby do zwycięstwa więcej drużyn.

– Nie jest ani trochę taki, jak sobie wyobrażałam – bąknęłam pod nosem do Roba Bellamy’ego, starego kumpla, z którym pływałam w reprezentacji Szwajcarii. – W tych okularach z rogowymi oprawkami wygląda na geeka – dodałam, widząc, że Falys-Kings wstaje, by przejść do innego stolika. – I jakoś dziwnie chodzi.

– To prawda, że nie pasuje do stereotypu żeglarza osiłka – zgodził się ze mną Rob. – Ale to absolutny geniusz. Na wodzie włącza mu się szósty zmysł. Nie ma kapitana, któremu bardziej bym zaufała podczas sztormu.

Tego samego wieczoru Rob przedstawił mnie Theo. Kiedy słynny kapitan podawał mi rękę, zauważyłam zamyślenie w jego zielonych oczach z piwnymi cętkami.

– Więc to ty jesteś tą słynną Al D’Aplièse? – Miał brytyjski akcent i ciepły, spokojny głos.

– Koniec zdania się zgadza – odparłam zawstydzona jego komplementem. – Ale słynny to jesteś ty. – Staralam się, jak mog-

łam, nie odwracać wzroku od jego przenikliwych oczu. Nagle zobaczyłam, że wyraźnie próbuje stłumić śmiech.

– Co tak cię rozbawiło?

– Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się kogoś takiego jak ty.

– Nie rozumiem?

Uwagę Theo odwrócił fotograf, który chciał zrobić zdjęcie grupowe, więc nie dowiedziałam się, o co mu chodziło.

Później widywałam go na różnych imprezach organizowanych z okazji regat, w których braliśmy udział. Miał w sobie jakąś nieokreśloną energię i tak miły uśmiech, że choć pozornie był bardzo powściągliwy, ludzie do niego lgnęli. Na oficjalne spotkania, w ramach ukłonu w stronę etykiety i sponsorów wyścigu, wkładał przeważnie bawełniane spodnie i pogniecioną lnianą marynarkę, ale stare noszone na pokładzie buty i nieokiełznane ciemne włosy i tak sprawiały, że wyglądał, jakby przed chwilą zszedł z jachtu.

W czasie pierwszych przypadkowych spotkań miałam wrażenie, że tańczymy wokół siebie. Nasze oczy często się spotykały, ale nie podejmował próby dokończenia tamtej pierwszej rozmowy. Dopiero sześć tygodni temu, kiedy moja załoga zwyciężyła w regatach u wybrzeży Antigui i obchodziliśmy to podczas Balu Lorda Nelsona na zakończenie tygodnia zawodów, poklepał mnie po ramieniu.

– Dobra robota – powiedział.

– Dziękuję. – Cieszyłam się, że wreszcie zwyciężyliśmy z jego drużyną.

– W tym sezonie słyszałem o tobie wiele dobrego, Al. Nie miałabyś ochoty przyłączyć się do mojej załogi na czerwcowych regatach po Cykladach?

Miejsce na tych regatach zaproponował mi już ktoś inny, ale jeszcze się nie zadeklarowałam. Theo zauważył, że się waham.

– Jesteś już zajęta?

– Tylko wstępnie.

– W takim razie dam ci swoją wizytówkę. Zastanów się i odpowiedz mi do końca tygodnia. Przydałby mi się na pokładzie ktoś taki jak ty.

– Dziękuję. – W myślach już przestałam się wahać. Kto by od-

rzucił propozycję aktualnego „króla mórz”, bo tak o nim mówiono? – A tak w ogóle – zatrzymałam go, gdy zbierał się, żeby ode mnie odejść – to dlaczego, kiedy ostatnio rozmawialiśmy, powiedziałeś, że nie spodziewałeś się kogoś takiego jak ja?

Zatrzymał się na chwilę i zmierzył mnie wzrokiem.

– Nie znałem cię osobiście, ale słyszałem rozmowy o twoich umiejętnościach żeglarskich. No i jak już mówiłem, nie spodziewałem się kogoś takiego. Dobranoc, Al.

W drodze do swojego pokoju w małym pensjonacie nad zatoką St John’s roztrząsałam w myślach tę rozmowę. Napawając się nocnym powietrzem, zastanawiałam się, dlaczego Theo aż tak mnie zafascynował. Kolorowe fasady domów skąpane były w ciepłych światłach latarni ulicznych. Z dala dochodziły leniwe odgłosy rozmów ludzi siedzących w barach i kawiarniach. Podniecona zwyczajem w regatach i propozycją Theo Falys-Kingsa, nie zwracałam jednak na to wszystko uwagi.

Kiedy tylko przekroczyłam próg pokoju, natychmiast poszłam do komputera i napisałam do Theo maila, w którym poinformowałam go, że przyjmuję jego ofertę. Zanim wcisnęłam WYŚLIJ, wzięłam prysznic, a potem jeszcze raz przeczytałam swoje słowa i stwierdziłam, że wyszłam na tak nadgorliwą, że aż się zarumieniłam. Postanowiłam zachować wiadomość w mailach roboczych i wysłać za kilka dni, a potem wyciągnęłam się na łóżku i naprężyłam ręce, aby pozbyć się bólu po zawodach.

– Wiesz co, Al – mruknęłam do siebie z uśmiechem. – To dopiero będą ciekawe regaty.

Mail wysłałam zgodnie z planem, a Theo natychmiast się ze mną skontaktował. Odpisał, że bardzo się cieszy, że przyłączyć się do jego załogi.

Dwa tygodnie temu po raz pierwszy znalazłam się – nie wiadomo dlaczego strasznie zdenerwowana – na przeznaczonym dla naszej drużyny jachcie *Hanse 540*, przycumowanym w porcie Nakсос. Mieliśmy zacząć trening do regat po Cykladach.

Te zawody nie były specjalnym wyzwaniem. Uczestniczyli w nich zarówno poważni, zawodowi gracze, jak i weekendowi entuzjaści. Wszystkich zagrzewała do boju perspektywa ośmiu cudownych dni żeglowania wśród jednych z najpiękniejszych wysp

na świecie. Należeliśmy do załóg z największym doświadczeniem, więc mieliśmy dużą szansę na zwycięstwo.

Drużyny Theo słyęły z młodego wieku uczestników. Rob Belamy i ja mieliśmy po trzydzieści lat, należeliśmy więc na jachcie do starszyny, zarówno jeśli chodzi o wiek, jak i doświadczenie. Słyszałam, że Theo najchętniej zatrudnia utalentowanych młodych żeglarzy, którzy nie nabrali jeszcze złych nawyków. Razem z nami załoga liczyła sześciu członków: pozostali – krzepki Anglik Guy, wyluzowany Australijczyk Tim i Mick, pół-Niemiec pół-Grek, który znał wody Morza Egejskiego równie dobrze jak własną kieszeń – byli tuż po dwudziestce.

Chociaż tak paliłam się do pracy z Theo, decyzji o niej nie podjęłam pochopnie. Zrobiłam, co mogłam, aby zebrać informacje o zagadkowym „królu mórz” z internetu i rozmów z ludźmi, którzy z nim już pływali.

Ustaliłam, że pochodzi z Wielkiej Brytanii i studiował w Oksfordzie, co wyjaśniało jego arystokratyczny akcent. Z internetu dowiedziałam się jednak, że ma amerykańskie obywatelstwo i wielokrotnie doprowadził do zwycięstwa reprezentację żeglarską uniwersytetu Yale. Ktoś z moich znajomych słyszał, że pochodzi z bogatej rodziny, ktoś inny mówił, że mieszka na łodzi.

„Perfekcjonista”, „lubi rządzić”, „trudno go zadowolić”, „pracholik”, „mizogin”... – zebrałam też i takie komentarze. Ostatni pochodził od koleżanki żeglarki, która utrzymywała, że kiedy należała do jego załogi, była lekceważona i źle traktowana. Szczerze mówiąc, po tym, co od niej usłyszałam, przez chwilę się zastanawiałam. Ale przytłaczająca większość opinii mniej więcej się pokrywała.

„Absolutnie najlepszy kapitan, u którego pracowałem”.

Już pierwszego dnia na pokładzie zrozumiałam, dlaczego Theo cieszy się takim szacunkiem wśród żeglarzy. Byłam przyzwyczajona do wrzaskliwych przełożonych, którzy wydawali instrukcje podniesionym głosem i kogo się dało, obrzucali obelgami jak humorzaści szefowie kuchni. Powściągliwość Theo była dla mnie czymś nowym. Przy wydawaniu poleceń mówił bardzo niewiele; głównie obserwował nas z daleka. Na koniec dnia robił odprawę i spokojnym, zrównoważonym głosem wyjaśniał, jakie mamy

mocne i słabe strony. Spostrzegłam, że nic nie umyka jego uwadze, a ponieważ miał charyzmę, uważnie wsłuchiwałam się w każde jego słowo.

– A tak w ogóle, Guy, żebym więcej nie widział, że podczas ćwiczeń do zawodów po kryjomu palisz papierosy – powiedział kiedyś z lekkim uśmiechem na sam koniec odprawy.

Guy zarumienił się aż po cebulki jasnych włosów.

– Facet ma chyba oczy z tyłu głowy – mruknął do mnie w drodze z jachtu do naszych pokoi, gdzie mieliśmy wziąć prysznic i przebrać się do kolacji.

Pierwszego wieczoru wyruszyłam z pensjonatu razem z resztą załogi zadowolona, że zdecydowałam się do nich dołączyć. Szliśmy wzdłuż portu w Naksos. Nad krętymi uliczkami i białymi domami miasteczka górował podświetlony zamek. Restauracje pękały w szwach od żeglarzy i turystów, którzy raczyli się świeżymi owocami morza i szklanka za szklanką wypijali morze ouzo. Znaleźliśmy małą rodzinną knajpkę w bocznej ulicy. Siedzieliśmy wprawdzie na rozklekotanych drewnianych krzesłach, każdy talerz był z innej parafii, ale podano nam idealne domowe jedzenie. A po całym dniu na morzu wszyscy mieliśmy wilcze apetyty. Byłam tak głodna, że chłopaki aż wybałuszyły oczy ze zdziwienia, obserwując, jak pochłaniam musakę i dokładałam sobie ryżu.

– Co się tak gapicie? Nigdy nie widzieliście kobiety przy jedzeniu? – spytałam i nachyliłam się, żeby sięgnąć po następny kawałek pity.

Theo rzadko dołączał się do naszych wygłupów, rzucając jakieś suche spostrzeżenie i zaraz po kolacji szedł do siebie. Nie chciał uczestniczyć w rajdach po barach. Ja też wkrótce odłączałam się od reszty. Po latach uprawiania profesjonalnego żeglarstwa nie miałam ochoty przyglądać się temu, co mężczyźni wyrabiają po zapadnięciu zmroku.

Pod wnikliwym – zielonym – okiem Theo w ciągu kilku dni udało nam się zgrać ze sobą i szybko stworzyliśmy sprawny zespół. Coraz bardziej podziwiałam jego metody zarządzania grupą. Trzeciego wieczoru w Naksos byłam szczególnie zmęczona po ciężkim dniu pod palącym słońcem Morza Egejskiego, więc wstałam od stołu pierwsza.

– Cześć, chłopaki – rzuciłam. – Ja już idę.

– Ja też – powiedział Theo. – Dobranoc, chłopaki. Proszę, żeby jutro nikt nie przychodził na kacu – dodał i wyszedł za mną z restauracji. – Mogę ci potowarzyszyć? – zapytał, kiedy dogonił mnie na ulicy.

– Jasne. – Nagle poczułam się spięta; po raz pierwszy byliśmy sami.

Wracaliśmy do pensjonatu wąskimi brukowanymi uliczkami. Księżyc oświeślał białe domki o pomalowanych na niebiesko drzwiach i okiennicach. Za wszelką cenę starałam się podtrzymać rozmowę, ale Theo od czasu do czasu rzucał tylko „tak” lub „nie” i jego małowówność zaczynała mnie irytować.

Gdy doszliśmy do holu pensjonatu, nagle odwrócił się w moją stronę.

– Masz niezwykły instynkt do żeglarstwa, Al. Większość kolegów zapędzasz w kozi róg. Kto cię uczył?

– Ojciec – odpowiedziałam, zdziwiona komplementem. – Od dziecka pływałam z nim żaglówkami po Jeziorze Genewskim.

– Jesteś z Genewy! To wyjaśnia twój francuski akcent.

Przygotowałam się na typowe słowa w stylu: „Powiedz coś seksownego po francusku”, które w tym momencie rozmowy padały z ust większości mężczyzn, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Twój ojciec musiał być nadzwyczajnym żeglarzem: świetnie cię wyszkolił.

– Dziękuję. – Rozbroił mnie.

– Jak się czujesz jako jedyna kobieta na pokładzie? Zresztą pewnie nie jest to dla ciebie nic niezwykłego – dodał pośpiesznie.

– Szczerze mówiąc, wcale o tym nie myślę.

Przyglądał mi się uważnie zza okularów w rogowych oprawkach.

– Naprawdę? Wybacz, że to mówię, ale, moim zdaniem, myślisz. Czasem mam wrażenie, że starasz się, by nikt nie zwrócił uwagi na to, że jesteś kobietą, i właśnie wtedy popełniasz błędy. Proponowałbym, żebyś bardziej się rozluźniła i po prostu była sobą. No, ale dobranoc. – Uśmiechnął się przelotnie i ruszył po wyłożonych białymi kafelkami schodach do swojego pokoju.

Tej nocy, leżąc w wąskim łóżku, czułam, jak drapie mnie wykrochmalona biała pościel, a policzki pieką z powodu jego krytycznej uwagi. Czy to moja wina, że kobiety nadal stanowią rzadkość albo, jak niewątpliwie powiedzieliby niektórzy koledzy z załogi – nowość na pokładach profesjonalnych zespołów na regatach? A ten Theo Falys-Kings, za kogo właściwie się uważa? Znalazł się domorosły psycholog analizujący ludzi, którzy wcale tego nie potrzebują!

Zawsze wydawało mi się, że dobrze sobie radzę jako kobieta w środowisku zdominowanym przez mężczyzn i potrafię dzielnie brać na klatę ich przyjacielskie docinki i komentarze na temat mojej kobiecości. W pracy zbudowałam wokół siebie nieprzenikniony mur i wypracowałam dwie osobowości: w domu Ally, w pracy Al. Owszem, bywało trudno, ale nauczyłam się trzymać język za zębami, zwłaszcza kiedy uwagi miały wyraźnie seksistowski wydźwięk, jak komentarze na temat zachowań blondynek. Chcąc uniknąć takich uwag, zawsze dokładnie odgarniałam z twarzy złotorude loki i mocno wiązałam je w koński ogon. Poza tym w ogóle się nie malowałam; nie używałam żadnych kosmetyków do podkreślenia oczu czy zatuszowania piegów. No i pracowałam równie ciężko jak mężczyźni z załogi – a być może, doszłam do wniosku w poczuciu krzywdy – ciężiej.

Z oburzenia nie mogłam spać i nagle przypomniałam sobie, jak ojciec mówił, że ludzi przeważnie najbardziej irytują te uwagi na ich temat, w których jest ziarno prawdy. W miarę upływu nieprzespanych godzin zaczęłam przyznawać przed sobą, że Theo pewnie ma rację. Nie jestem sobą.

Następnego wieczoru znowu wracaliśmy razem do pensjonatu. Choć nie był człowiekiem pokażnej postury, tak strasznie się go bałam, że w rozmowie z nim zaczynałam się na prostych słowach. Usiłowałam mu wytłumaczyć, że ja na jachcie i ja w życiu prywatnym to dwie różne osoby.

– Mój ojciec – zaczął, wysłuchawszy mnie – którego opinie nie zawsze szanuję, słusznie zauważył kiedyś, że kobiety mogłyby rządzić światem, gdyby tylko skorzystały ze swoich atutów, zamiast usiłować być mężczyznami. Może tak właśnie powinnaś postępować.

– Mężczyźni łatwo to powiedzieć! Ale czy twój ojciec pracował kiedyś w środowisku kompletnie zdominowanym przez kobiety? I czy w takiej sytuacji byłby sobą? – odparowałam zirytowana, że mnie poucza.

– Masz rację – przyznał Theo. – W każdym razie, może byłoby mi trochę łatwiej, gdybym mówił do ciebie Ally. To imię znacznie lepiej do ciebie pasuje niż Al. Miałabyś coś przeciwko temu?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, nagle zatrzymał się w malowniczym porcie, gdzie małe kutry rybackie delikatnie kołysały się między większymi jachtami i motorówkami, a spokojne fale z delikatnym pluskiem rozbijały się o ich kadłuby. Podniósł wzrok w stronę nieba, a jego nozdrza wyraźnie się rozszerzyły, gdy wciągał powietrze. Sprawdzał, jaką pogodę przyniesie nam poranek. Coś takiego widziałam tylko u starych marynarzy. Zachichotałam, bo wyobraziłam go sobie jako siwego wilka morskiego.

Zdziwiony, odwrócił się do mnie z uśmiechem.

– Co cię tak rozśmieszyło?

– Nic takiego. A wracając do twojego pytania: jeśli tak ci bardzo pasuje, to proszę, możesz do mnie mówić Ally.

– Dziękuję. A teraz idziemy się wyspać. Na jutro zaplanowałam ciężki dzień.

Tej nocy znów nie mogłam zasnąć; powtarzałam w myślach naszą rozmowę. Ja, która zwykle śpię jak kamień, zwłaszcza podczas przygotowań do regat lub zawodów.

Rada Theo, zamiast mi pomóc, sprawiła, że przez następne kilka dni robiłam mnóstwo głupich błędów. Czułam się jak żółtodziób, a nie zawodowa żeglarka, choć przecież nią byłam. Karciłam się za to surowo, a koledzy dobrodusznie się ze mnie nabijali. Z ust Theo nie padło jednak ani słowo krytyki.

Piątej nocy poczułam się straszliwie zawstydzona tą nietypową dla mnie kiepską formą, więc nawet nie poszłam z resztą załogi na kolację. Usiadłam na tarasie pensjonatu i jadłam chleb, ser feta i oliwki, które dostałam od miłej właścicielki domu. Smutki topiłam w tanim winie, które co chwilę mi dolewała. Po kilku kieliszkach poczułam mdłości i zaczęłam się nad sobą litować. Właśnie chwiejnie wstałam od stolika, żeby iść spać, kiedy na tarasie pojawił się Theo.

– Nic ci nie jest? – zapytał, poprawiając okulary na nosie, aby lepiej mi się przyjrzeć.

Spojrzałam na niego z ukosa, ale nie wiadomo dlaczego jego postać rozmazała mi się przed oczami.

– Nie – odpowiedziałam i szybko usiadłam z powrotem, ponieważ nagle wszystko zaczęło się przede mną chwiać.

– Martwiliśmy się o ciebie, że nie przyszedłeś na kolację. Na pewno nie jesteś chora?

– Skąd! – Poczułam, jak do gardła podchodzi mi gorzka żółć. – Nic mi nie jest.

– Jeśli źle się czujesz, możesz mi to powiedzieć. Na pewno nic ci z tego powodu nie zrobię. Mogę się przysiąść?

Milczałam. Tak naprawdę nie byłam w stanie wykrztusić słowa, ponieważ usiłowałam opanować mdłości. A on i tak już usiadł na plastikowym krzeselku naprzeciwko mnie.

– Więc co takiego się dzieje?

– Nic – wykrztusiłam jakoś.

– Ally, jesteś zielona na twarzy. Na pewno nie jesteś chora?

– Hm... przepraszam.

Ledwie to powiedziałam, słaniając się, wstałam na nogi i w ostatniej chwili dotarłam do brzegu tarasu, po czym zwymiotowałam na znajdujący się poniżej chodnik.

– Biedactwo. – Poczułam, jak w talii mocno obejmują mnie jego dłonie. – Oczywiście, że jesteś chora. Pomogę ci dojść do pokoju. Który masz numer?

– Ale... nic mi nie jest – mruknęłam bez sensu, straszliwie przerażona tym, co się przed chwilą stało. I to przy Theo Falys-Kingsie, któremu, nie wiadomo dlaczego, tak bardzo chciałam za imponować. Chyba nie mogło już być gorzej.

– Chodź. – Przerzucił sobie moje bezwładne ramię przez bark i właściwie wyniósł mnie z tarasu odprowadzany zde gustowanymi spojrzeniami innych gości.

Kiedy znalazłam się w pokoju, wymiotowałam jeszcze kilka razy, ale teraz przynajmniej do toalety. Za każdym razem, gdy wracałam do pokoju, Theo czekał na mnie w pogotowiu, by pomóc mi dojść do łóżka.

– Naprawdę rano wszystko będzie dobrze – wyjęczałam.

– Od dwóch godzin to mówisz między jednym a drugim pa-
wieniem – zauważył pragmatycznie i chłodnym, wilgotnym ręczni-
kiem wytarł mi z czoła lepki pot.

– Idź spać, Theo – burknęłam nieprzytomnie. – Naprawdę
jest już dobrze. Muszę się tylko wyspać.

– Zaraz sobie pójdę.

– Dziękuję, że tak się mną zaopiekowałeś – szepnęłam, kiedy
oczy mi się zamykały.

– Nie ma za co, Ally.

I nagle, unosząc się gdzieś między snem a jawą, uśmiechnęłam
się i stało się coś dziwnego.

– Chyba cię kocham – usłyszałam swój głos, zanim zatopiłam
się w niebycie.

Następnego ranka obudziłam się w lepszej formie, choć wciąż
byłam osłabiona. Wychodząc z łóżka, potknęłam się o Theo, który
wziął zapasową poduszkę i mocno spał skulony na podłodze. Za-
mknęłam za sobą drzwi łazienki, opadłam na brzeg wanny i przy-
pomniały mi się słowa, które jak mi się wydawało... Chryste Pa-
nie... czy naprawdę wczoraj je wypowiedziałam?

Chyba cię kocham.

Co mi przyszło do głowy? A może tylko przyśniło mi się, że je
powiedziałam. Przecież byłam chora i mogłam mieć halucynacje.

– O Boże, mam nadzieję, że tak było – jęknęłam, opierając gło-
wę na dłoniach. Ale... jeśli tego nie powiedziałam, to dlaczego tak
wyraźnie pamiętam te słowa? Bredziłam, ale on mógł pomyśleć, że
mówiłam poważnie.

W końcu, strasznie zawstydzona, wyszłam z łazienki i zoba-
czyłam, że Theo zbiera się do wyjścia. Nie byłam w stanie spoj-
rzeć mu w oczy. Powiedział tylko, że idzie do swojego pokoju
wziąć prysznic i wróci po mnie za dziesięć minut i zjeździemy na
śniadanie.

– Lepiej idź sam, Theo. Boję się cokolwiek jeść.

– Przecież musisz coś zjeść, Ally. Jeśli dalej będziesz wymioto-
wać, to, niestety, nie wpuszczę cię na łódź do czasu, aż wyzdrowie-
jesz. Znasz regulamin.

– Okay – zgodziłam się z miną nieszczęśnicy.

Kiedy odszedł, z całego serca żałowałam, że nie mogę po pro-

stu stać się niewidzialna. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie pragnęłam przenieść się w jakieś inne miejsce.

Piętnaście minut później wyszliśmy razem na taras. Inni członkowie załogi patrzyli na nas od stołu z minami, które mówiły wszystko. Chętnie bym im dowalała.

– Ally ma chory żołądek – oznajmił Theo, kiedy usiedliśmy. – Ale po tobie, Rob, też widać, że niezbyt się wyspałeś.

Koledzy zaczęli śmiać się z Roba, a on, trochę zawstydzony, wzruszył ramionami. Tymczasem Theo zaczął spokojnie tłumaczyć, jakie ćwiczenia zaplanował na ten dzień.

Nie odzywałam się, zadowolona, że tak szybko zmienił temat, ale wiedziałam, co przyszło do głowy pozostałym. Ironia sytuacji polegała na tym, że kompletnie się mylili. Przysięgałam sobie kiedyś, że nigdy nie będę spała z kolegą z załogi; wiedziałam, jak w tym małym świątku żeglarskim może do kobiety przylgnąć etykieta. No, a teraz, choć byłam Bogu ducha winna, przyklepiono mi ją.

Dobre było chociaż to, że po śniadaniu nie zwymiotowałam i Theo pozwolił mi wejść na pokład. Od tej chwili starałam się, jak mogłam, udowodnić wszystkim, a zwłaszcza jemu, że ani trochę mi na nim nie zależy. Podczas ćwiczeń trzymałam się od niego tak daleko, jak tylko na to pozwalał wspólny pobyt na niewielkim jachcie, i odpowiadałam mu monosylabami. Wieczorami, po kolacji, gdy on wstawał, by wrócić do pensjonatu, zaciskałam zęby i zostawałam z resztą załogi.

No bo przecież wcale go nie kocham, mówiłam do siebie. I chciałam, żeby inni też się o tym przekonali. Im bardziej jednak starałam się udowodnić każdemu dokoła, że nie zależy mi na Theo Falys-Kingsie, tym bardziej uświadamiałam sobie, że w głębi duszy wcale nie jestem co do tego przekonana. Przylapywałam się na spoglądaniu w jego stronę, kiedy wydawało mi się, że na mnie nie patrzy. Podziwiałam jego spokojne metody zarządzania załogą i wnikliwe uwagi, które sprawiały, że coraz lepiej nam się współpracowało. Zauważyłam, że choć jest stosunkowo drobny, ma jędrne, umięśnione ciało. I nieustannie udawał, że jest najsprawniejszy i najsilniejszy z nas wszystkich.

Za każdym razem, kiedy mój zdradziecki umysł błędził wokół jego fizyczności, z całej siły starałam się go powściągnąć. Niestety,

Theo często chodził bez koszuli, więc wcale mi tego nie ułatwiał. To prawda, że w ciągu dnia było bardzo gorąco, ale czy naprawdę musiał półnago studiować mapy?

– Potrzebujesz czegoś, Ally? – zapytał mnie kiedyś, gdy odwrócił się i zauważył, że się na niego gapię.

Nie pamiętam nawet, co mu odburknęłam, odwracając się od niego z buraczkową ze wstydu twarzą.

Ułżyło mi, że nigdy nie wracał do moich słów z tamtej nocy, i zaczęłam nabierać przekonania, że naprawdę mi się to przyśniło. Wiedziałam jednak, że stało się ze mną coś nieodwracalnego. Coś, nad czym po raz pierwszy w życiu w ogóle nie panowałam. Nie dość, że przestałam dobrze sypiać, to straciłam swój zwykle wyśmienity apetyt. Kiedy udawało mi się na trochę zasnąć, nękały mnie sny o Theo, i to takie, że po przebudzeniu rumieniłam się ze wstydu. Zachowywałam się wobec niego beznadziejnie. Jako nastolatka czytywałam romanse, potem wołałam ostre kryminały – ale najwyraźniej przeczytałam tych pierwszych wystarczająco dużo, by teraz – po zanalizowaniu własnych objawów – postawić jednoznaczną diagnozę: zadurzyłam się po uszy w Theo Falys-Kingsie.

Wieczorem po ostatnim dniu szkolenia, kiedy zjedliśmy kolację, wstał od stołu i powiedział nam, że znakomicie się spisaliśmy i, jego zdaniem, mamy dużą szansę na zwycięstwo w nadchodzących regatach. Po toaście już szykowałam się do odejścia, kiedy zatrzymał mnie wzrokiem.

– Chciałbym coś z tobą omówić, Ally. Zgodnie z przepisami, ktoś spośród załogi musi odpowiadać za pierwszą pomoc. To nic takiego, tylko biurokratyczne przepisy. Trzeba po prostu podpisać kilka formularzy. Mogłabyś to zrobić? – Wskazał plastikową teczkę, którą trzymał w ręce, i kiwnięciem głowy zaprosił mnie do pustego stolika.

– Nie mam bladego pojęcia o pierwszej pomocy. To, że jestem kobietą, nie oznacza jeszcze, że będę lepszą pielęgniarzką niż chłopaki – broniłam się, gdy usiedliśmy przy stoliku oddalonym od reszty. – Poproś Toma albo kogoś innego.

– Ally, proszę cię, bądź cicho. Zależało mi tylko na tym, żeby porozmawiać z tobą na osobności. Popatrz. – Wyjął z plastikowej

teczki puste kartki. – Nie chcę, żeby wyciągali nie wiadomo jakie wnioski, i chodzi mi głównie o ciebie. A chciałbym porozmawiać z tobą o tym, co powiedziałaś tamtej nocy, kiedy byłaś chora... Bo widzisz... tak się składa, że ja być może czuję to samo do ciebie...

Gdy przerwał, z niedowierzaniem podniosłam wzrok, żeby sprawdzić, czy się ze mnie nie nabija, ale on udawał, że sprawdza, czy wszystkie papiery są w porządku.

– Mam pewien pomysł, który może nam pomóc zorientować się w tym, co oboje czujemy – dodał. – Jutro biorę swój prywatny jacht i znikam na długi weekend. Chciałbym, żebyś popłynęła ze mną. – W końcu podniósł na mnie wzrok. – Zgodzisz się?

Usta otwierały mi się i zamykały. Zapewne świetnie naśladowałam w ten sposób złotą rybkę, ale najzwyczajniej nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Rany, Ally. Po prostu powiedz „tak”. Przepraszam za kiepskie porównanie, ale jedziemy na jednym wózku, a raczej płyniemy tą samą łódką. Oboje dobrze wiemy, że między nami iskrzy, i to od pierwszego spotkania rok temu. Szczerze mówiąc, po tym, co o tobie słyszałem, spodziewałem się jakiegoś umięśnionego babochłopa. A tymczasem zobaczyłem dziewczynę z pięknymi niebieskimi oczami i wspaniałymi rudymi włosami. Całkiem mnie to rozbroiło.

– Ojej... – Po prostu zabrakło mi słów.

– A więc... – Theo odchrząknął i zorientowałam się, że jest równie zdenerwowany jak ja. – Popłynmy i róbmy to, co lubimy najbardziej: spędźmy trochę czasu na wodzie, tak żeby to, co jest między nami, miało szansę się rozwinąć. W najgorszym wypadku spędzisz czas na świetnej łodzi. Jest bardzo wygodna. I szybka.

– A czy na pokładzie... będzie ktoś oprócz nas? – zapytałam, kiedy w końcu odzyskałam głos.

– Nie.

– Ty będziesz kapitanem, a ja załogą?

– Tak, ale obiecuję, że nie zmuszę cię do łożenia po takielunku i nie będziesz musiała całą noc siedzieć w bocianim gnieździe. – Uśmiechnął się do mnie, a jego zielone oczy były pełne ciepła. – No, powiedz, że ze mną popłyniesz, Ally.

– Okay – zgodziłam się.

– To dobrze. A teraz, podpisz się o tutaj... żeby przypieczętować umowę. – Palcem wskazał miejsce na pustej kartce.

Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że nadal się do mnie uśmiecha. W końcu odwzajemniłam jego uśmiech. Podpisałam się i oddałam mu kartkę. Przyjrzał jej się z udawaną powagą, a potem włożył do plastikowej teczki.

– W takim razie, sprawa załatwiona. – Podniósł głos, żeby usłyszeli go inni członkowie załogi, którzy niewątpliwie wyteżyli swoje gumowe uszy. – Do zobaczenia w porcie jutro o dwunastej. Wyjaśnię ci twoje nowe obowiązki.

Puścił do mnie oko i statecznym krokiem podeszliśmy do reszty. Starałam się, by nie było po mnie widać, że w środku aż buzuję we mnie z podniecenia.

2

Prawdę mówiąc, ani Theo, ani ja nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać, kiedy wyruszyliśmy z Naksos na jego *Neptunie*, eleganckim, dużym jachcie motorowym firmy Sunseeker. Był o dobre sześć metrów dłuższy od *Hanse'a*, na którym mieliśmy płynąć w regatach. Przyzwyczaiałam się do gnieźdzenia w ciasnocie na pokładach różnych łodzi, tymczasem tutaj byliśmy tylko we dwójkę, więc przestrzeń wydawała się tym większa. Główna kajuta była luksusowym apartamentem, wykładanym tekowym drewnem. Kiedy zobaczyłam w niej duże małżeńskie łóże, aż się wzdrygnęłam – przypomniało mi się, w jakich okolicznościach spaliśmy w tym samym pokoju.

– Kupiłem tę łódź bardzo tanio kilka lat temu, kiedy jej właściciel zbankrutował – wyjaśnił, wyprowadzając jacht z portu w Naksos. – Od tamtej pory przynajmniej mam dach nad głową.

– Mieszkasz na niej? – zdziwiłam się.

– Jeśli mam dłuższą przerwę, przenoszę się do domu mamy w Londynie, ale przez miniony rok tak rzadko miałem przerwy między rejsami i zawodami, że mieszkalem na niej. Ostatnio dojechałem jednak do tego, żeby mieć własny dom na lądzie. Nawet kupiłem go, ale jest w nim mnóstwo roboty i Bóg wie, kiedy będę miał czas go wyremontować.

Byłam przyzwyczajona do *Tytana*, czyli superjachtu ojca, z jego wyrafinowaną nawigacją komputerową, więc dzieliliśmy się z Theo „prowadzeniem” *Neptuna*, jak to ujął, jakby to była jazda samochodem. Pierwszego ranka trudno mi było się przestawić; kiedy trenowaliśmy do zawodów, wytworzyły się między nami

określone relacje i teraz, jeśli Theo prosił, żebym coś zrobiła, le-dwie się powstrzymywałam, żeby nie odpowiedzieć: „Tak, kapi-tanie!”.

Panowało między nami wyczuwalne napięcie. Żadne nie wie-działo, jak przejść od stosunków, które łączyły nas w pracy, do cze-goś bardziej intymnego. Rozmowa się nie kleiła. Cały czas zasta-nawiałam się, co powiedzieć w tej dziwnej sytuacji, i w rezultacie gadałam bez sensu o niczym. Theo prawie się nie odzywał. Kiedy w porze lunchu nadszedł czas, by zarzucić kotwicę, zaczynałam już myśleć, że ta wycieczka okazała się jedną wielką katastrofą.

Z wdzięcznością zobaczyłam, że do sałatki wyjął butelkę schłodzonego prowansalskiego różowego wina. Nigdy dużo nie piłam, a już na pewno nie na morzu, ale jakoś udało nam się szyb-ko opróżnić tę butelkę. Chcąc przerwać jego niezręczne milczenie, zaczęłam rozmawiać o żeglarstwie. Omówiliśmy strategię na rega-tach po Cykladach i zastanawialiśmy się wspólnie, jak bardzo będą się od nich różniły zawody w nadchodzących igrzyskach olimpij-skich w Pekinie. Ostateczna decyzja, czy zostanę zakwalifikowana do drużyny Szwajcarii, miała zapaść pod koniec lata, natomiast Theo już wiedział, że będzie w reprezentacji Ameryki.

– Więc masz amerykańskie obywatelstwo? – spytałam. – Mó-wisz jak Anglik.

– Ojciec jest Amerykaninem, a matka Angielką. Byłem w szkole z internatem w Hampshire, potem studiowałem w Oks-fordzie, a później w Yale. Zawsze byłem kujonem.

– Co studiowałeś?

– Filologię klasyczną w Oksfordzie, a w Yale zrobiłem magi-sterkę z psychologii. W Yale dostałem się do uczelnianej drużyny żeglarskiej i po jakimś czasie zostałem jej kapitanem. To dosyć her-metyczne środowisko. A jak było z tobą?

– Studiowałam w Conservatoire de Musique w Genewie... gram na flecie. – Uśmiechnęłam się szeroko i zmieniłam temat: – Teraz wszystko już rozumiem.

– Co?

– Dlaczego tak lubisz analizować ludzi. A połowa twoich suk-cesów wynika z dobrej współpracy z załogą. Zwłaszcza ze mną – dodałam, bo alkohol dodał mi odwagi. – Twoje komentarze na-

prawdę bardzo mi pomogły, chociaż początkowo wcale mi się nie podobały.

– Miło mi to słyszeć. – Komplement wyraźnie go onieśmielił; Theo wyglądał, jakby chciał ukryć głowę w ramionach.

– Rodzice wspierali cię w żeglarskim? – spytałam.

– Mama tak, ale ojciec... Rozstali się, gdy miałem dwanaście lat, a kilka lat później w paskudny sposób się rozwiedli. Po rozwodzie tata wrócił do Stanów. Kiedy byłem młodszy, mieszkałem u niego podczas wakacji, ale zawsze albo był w pracy, albo dokądś wyjeżdżał, więc zatrudniał dla mnie opiekunki. Kilka razy odwiedził mnie, kiedy byłem w Yale, żeby zobaczyć, jak sobie radzę na regatach, ale nie mogę powiedzieć, żebym dobrze go znał. Wychowywała mnie głównie mama i muszę się przyznać, że udzieliła mi się jej niechęć do taty. A tak w ogóle, to chciałbym posłuchać, jak grasz na flecie. – Nagle zmienił temat i nareszcie spojrzał mi w oczy. Na chwilę zielone tęczęwki spotkały się z niebieskimi, ale szybko znów odwrócił wzrok, nerwowo przesuwając się na krześle.

Byłam sfrustrowana, że moje próby rozluźnienia atmosfery najwyraźniej zawiodły, więc zamilkłam. Gdy znieśliśmy brudne naczynia do kambuza, skoczyłam z burty jachtu do morza i zaczęłam energicznie pływać, by oczyścić mózg z wina.

– Może przed wyruszeniem w dalszą drogę pójdziemy na górny pokład i skorzystamy ze słońca? – zaproponował, gdy pojawiłam się z powrotem na pokładzie.

– Okay – zgodziłam się, choć czułam, że moja jasna, piegowata skóra i tak dostała już za dużo słońca. Normalnie przed wyjściem na słońce smarowałam się kremem z silnym filtrem, ale wyglądałam potem, jakbym pomalowała się na białło, co nie przydawało mi atrakcyjności. Właśnie dlatego rano użyłam kremu ze słabszym filtrem, ale powoli zaczynałam myśleć, że może nie warto było ryzykować poparzenia. Theo wyjął z lodówki turystycznej dwie butelki wody i przeszliśmy na wygodny słoneczny taras na dziobie statku. Rozsiedliśmy się obok siebie na luksusowych, miętko wyściełanych leżankach. Ukradkiem spoglądałam na jego ciało. Było tak blisko, że nie mogłam opanować dzikiego bicia serca. Pomyślałam, że jeśli wkrótce czegoś nie zrobi, zapomnę, że jestem damą,

i po prostu się na niego rzucę. Odwróciłam głowę, żeby odgonić od siebie sprośne myśli.

– Opowiedz mi o swoich siostrach i o waszym domu nad Jeziorem Genewskim – poprosił.

– Jest... no...

Mózg miałam otumaniony pożądaniem i alkoholem, więc ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, był długi wywód na temat mojej skomplikowanej sytuacji rodzinnej.

– Mogę opowiedzieć ci o tym później? – spytałam, odwracając się od niego. – Chyba zacznym przysypiać.

– Pewnie.

Poczułam, że leciutko dotyka palcami moich pleców.

– Tak? – Odwróciłam się i podniosłam na niego wzrok, a gardło tak mi się zacisnęło, że nie mogłam oddychać z oczekiwania, co zrobi.

– Spalisz sobie ramiona.

– Aaa, no tak... – burknęłam. – W takim razie pójdę na dół i usiądę sobie w cieniu.

– Iść z tobą?

Nie odpowiedziałam; wstałam, wzruszając ramionami, i zaczęłam się przeciskać przez wąską część pokładu prowadzącą na rufę. Nagle chwycił mnie za rękę.

– O co chodzi, Ally?

– O nic. A co?

– Jesteś taka... spięta.

– Hm... Ty też – odparowałam.

– Naprawdę?

– Owszem – odburknęłam.

Poszedł za mną po schodach na rufę i ciężko usiadł na ławce w cieniu.

– Przepraszam cię – powiedział. – Nigdy w tym nie byłem dobry.

– W czym?

– No wiesz. W zalotach. Nie umiem tego robić. To znaczy... szanuję cię i lubię i nie chciałem, żebyś miała wrażenie, że zabrałem cię tu na bara-bara. Żebyś myślała, że chodzi mi tylko o to. Bo przecież i tak jesteś przewrażliwiona na punkcie bycia kobietą w środowisku opanowanym przez mężczyzn, więc...

– Na miłość boską, Theo, wcale nie jestem!
– Naprawdę? – Z niedowierzaniem przewrócił oczami. – Szczerze mówiąc, w dzisiejszych czasach my, faceci, ciągle się boimy, że zostaniemy oskarżeni o molestowanie seksualne, nawet jeśli tylko z podziwem spojrzymy na kobietę. Zdarzyło mi się coś takiego, kiedy miałem wśród załogi żeglarke.

– Naprawdę? – Udałam zdziwienie.
– Powiedziałem coś w rodzaju: „Cześć, Jo, fajnie, że będziesz z nami na pokładzie, trochę rozruszasz chłopaków”. I od tej pory miałem u niej przechłapanie.

Wybałuszyłam na niego oczy.
– Nie wierzę, że tak powiedziałeś!
– Chodziło mi o to, że będziemy się przy niej bardziej starać. Jako żeglarka miała fantastyczną opinię. Ale z jakiegoś powodu źle to odebrała.

– Ciekawe z jakiego? – rzuciłam z przekąsem.
– Też nie potrafiłem tego zrozumieć.
– Nie usłyszałeś ironii w moim głosie? Ja świetnie rozumiem, dlaczego się obraziła. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie komentarze muszą znosić żeglarke. Nic dziwnego, że była na tym punkcie przewrażliwiona.

– Właśnie dlatego okropnie się denerwowałem, że będziesz z nami na pokładzie. Zwłaszcza że tak bardzo mi się podobałaś.

– Ale ja jestem przecież kompletnie inna, pamiętasz? Krytykowałeś mnie za to, że usiłuję być mężczyzną i nie wykorzystuję swoich atutów!

– Masz rację. – Uśmiechnął się szeroko. – A teraz, kiedy jesteśmy tu sami...

– Theo! – przerwałam mu. – To, co mówisz, zakrawa na absurd! Moim zdaniem, to ty masz problem, nie ja! – odwarknęłam, bo powoli ogarniała mnie rozpacz. – Zaprosiłeś mnie na łódkę i zgodziłam się tu być z własnej, nieprzymuszonej woli!

– Tak, tylko że, szczerze mówiąc, to wszystko... – Popatrzył na mnie z powagą. – Jesteś dla mnie bardzo ważna. Wybacz, że zachowuję się jak idiota, ale już tak dawno do nikogo się nie... zalecałem. Nie chcę tego schrzanić.

Serce mi zmiękło.

– Przestań wszystko analizować i trochę się rozluźnij. Może wtedy i mnie uda się wyluzować.

– Spróbuję.

– Ale teraz – spojrzałam na swoje spalone ramiona – naprawdę zaczynam przypominać przejrzałego pomidora, więc schodzę na dół, żeby trochę odpocząć od słońca. Jeśli chcesz, jak najbardziej zapraszam cię do towarzystwa. – Wstałam i ruszyłam do schodów. – I obiecuję, że nie pozwę cię za molestowanie seksualne, a właściwie może nawet chciałabym, żebyś mnie trochę pomolestował...

Zniknęłam na dole, chichocząc w duchu z otwartości swojego zaproszenia i zastanawiając się, czy na nie zareaguje. Kiedy weszłam do kajuty i położyłam się na łóżku, poczułam, że jestem silna. W pracy Theo może i był moim szefem, ale w relacjach osobistych, jakkolwiek miałyby się rozwinąć, na pewno będę się domagała pełnej równości.

Pięć minut później Theo pokazał się w drzwiach i zaczął się tłumaczyć ze swojego bezsensownego zachowania. W końcu każałam mu się zamknąć i przyjść do mnie do łóżka.

Potem wszystko układało się już dobrze. Z dnia na dzień coraz wyraźniej zdawaliśmy sobie sprawę, że to, co rodzi się między nami, to coś więcej niż seks, i w końcu bez reszty oddaliśmy się radości z tego, że się nawzajem odnaleźliśmy.

Zbliżyliśmy się do siebie szybciej, niż to zazwyczaj bywa, ponieważ znaleźliśmy już mocne i słabe strony swoich charakterów, chociaż muszę przyznać, że tych drugich prawie nie dostrzegaliśmy. Po prostu celebrowaliśmy to rodzące się uczucie i wydawali się sobie nawzajem wspaniali. Kochaliśmy się, piliśmy wino i jedliśmy ryby, które Theo łowił z rufy jachtu, podczas gdy ja leniwie wylegiwałam się na jego kolanach i czytałam książkę. Byliśmy tylko we dwójkę na spokojnym morzu, więc ogarnęło nas uczucie, że istniejemy gdzieś poza czasem i nie potrzebujemy niczego oprócz siebie.

Drugiej nocy położyłam się w ramionach Theo pod gwiazdami na tarasie do opalania i opowiedziałam mu o Pa Salcie i moich siostrach. Jak każdy, Theo z fascynacją słuchał historii o moim dziwnym, magicznym dzieciństwie.

– Popraw mnie, jeśli coś źle zrozumiałem – poprosił. – Twój

ojciec, którego najstarsza z was nazwała Pa Salt, przywiózł ciebie i twoje pięć sióstr z podróży po świecie. Coś jak magnesy, które ludzie przyczepiają do lodówek?

– W skrócie można tak to ująć, chociaż, moim zdaniem, jestem nieco cenniejsza od magnesu.

– O tym się jeszcze przekonamy – powiedział, delikatnie skubiąc moje ucho. – Sam się wami zajmował?

– Nie. Miałyśmy Marinę, na którą zawsze mówiłyśmy mama. Tata zatrudnił ją jako opiekunkę, kiedy adoptował najstarszą z sióstr, Maję. Marina jest właściwie naszą mamą i uwielbiamy ją. Pochodzi z Francji i między innymi dlatego wszystkie dorastałyśmy, mówiąc po francusku, pomijając już to, że jest to jeden z urzędowych języków Szwajcarii. Pa obsesyjnie pragnął, żebyśmy były dwujęzyczne, więc sam mówił do nas po angielsku.

– Świetnie się spisał. Gdyby nie twój cudowny francuski akcent, w życiu bym nie zgadł, że nie jest to twój ojczysty język. – Theo przytulił mnie i pocałował w głowę. – Czy ojciec powiedział, dlaczego was adoptował?

– Kiedy zapytałam o to mamę, odparła, że zwyczajnie czuł się samotny, a miał mnóstwo pieniędzy, którymi chciał się z kimś podzielić. My, dziewczynki, nigdy nie drażyłyśmy tej sprawy, po prostu przyjęłyśmy za oczywiste, że tak sobie razem żyjemy. To typowe podejście wszystkich dzieci. Wystarczała nam świadomość, że jesteście rodziną.

– Ta historia przypomina bajkę. Bogaty dobroczyńca, który adoptuje sześć sierot. Ale dlaczego same dziewczynki?

– Żartowałyśmy, że może kiedy zaczął nas nazywać imionami gwiazd z gromady Siedmiu Sióstr, adoptowanie chłopca zburzyłoby porządek. – Roześmiałam się. – Ale tak naprawdę, żadna z nas nie ma pojęcia.

– Więc masz na imię Alkione i jesteś drugą siostrą? Trochę trudniej to wymówić niż Al – drażnił się ze mną.

– Tak, ale nikt tak do mnie nie mówi, tylko mama, kiedy jest na mnie zła. – Skrzywiłam się. – I nie waż się tak do mnie zwracać!

– Bardzo mi się podoba to imię. Moim zdaniem, pasuje do ciebie. Ale dlaczego jest was tylko sześć, choć powinno być siedem, żeby zgadzało się z mitem?

– Nie mam bladego pojęcia. Ostatnia siostra, która nazywała-
by się Merope, po prostu do nas nie dotarła.

– To dość smutne.

– Tak, chociaż jeśli weźmiemy pod uwagę, jak koszmarna była
moja szósta siostra, Elektra, kiedy tata przywiozł ją do Atlantis, to
nie sądzę, żeby któraś z nas miała ochotę na następne wrzaskliwe
niemowlę w rodzinie.

– Elektra? – Theo natychmiast skojarzył to imię. – Ale chyba
nie ta słynna supermodelka?

– Właśnie ta – odpowiedziałam ostrożnie.

Odwrocił się w moją stronę w osłupieniu. Rzadko, a właściwie
nigdy, nie mówiłam ludziom, że Elektra jest moją siostrą, ponie-
waż prowadziło to do niekończących się pytań. W końcu jej twarz
była jedną z najczęściej fotografowanych na świecie.

– Coś takiego! A pozostałe siostry? – zapytał.

Bardzo się ucieszyłam, że już więcej nie pytał o Eletrę.

– Najstarsza to Maja. Jest z zawodu tłumaczką; ma po tacie ta-
lent do języków. Straciłam już rachubę, ile ich zna. Jeśli uważasz,
że Elektra jest piękna, to powinieneś zobaczyć Maję. Ja jestem tyl-
ko piegowatym rudzielcem, ale ona ma przepiękną, ciemną karna-
cję i czarne włosy. Wygląda jak egzotyczna latynoska diwa. Ale jej
osobowość wcale nie pasuje do wyglądu. Prowadzi niemal pustel-
nicze życie; nawet nie wyprowadziła się jeszcze z Atlantis. Mówi,
że chce się opiekować tatą, choć wszystkie uważamy, że przed
czymś się chowa... – Westchnęłam mimowolnie. – Tylko że nie
wiem przed czym. Na pewno coś się stało, kiedy była na studiach.
Kompletnie się wtedy zmieniła. Jako dziecko uwielbiałam ją i na-
dal tak jest, choć mam wrażenie, że od kilku lat bardzo się ode
mnie odsunęła. Prawdę mówiąc, wszystkie się od siebie oddaliły-
śmy, ale kiedyś byliśmy ze sobą bardzo blisko.

– Jeśli człowiek zamyka się w swoim wnętrzu, zazwyczaj nie
dopuszcza do siebie innych. Wiesz, o co mi chodzi – mruknął
Theo.

– Co za głęboka myśl! – Szturchnęłam go z uśmiechem. – Ale
tak, właśnie tak z nią jest.

– A następna siostra?

– Ma na imię Star i jest ode mnie o trzy lata młodsza. Ona

i CeCe, którą tata przywiózł zaledwie trzy miesiące po niej, są jak papużki nierozłączki, jakby ktoś je ze sobą skleił. Po studiach obie wałęsały się po całym świecie. Pracowały w Europie i na Dalekim Wschodzie, ale teraz podobno chcą osiąść w Londynie, żeby CeCe mogła zapisać się na kurs przygotowawczy na Akademię Sztuk Pięknych. Gdybyś mnie zapytał o osobowość Star albo o jej talenty i ambicje, to, niestety, nie umiałabym ci odpowiedzieć. Prawie się nie odzywa i pozwala, żeby CeCe mówiła za nie obie. A ta ma bardzo silną osobowość, podobnie jak Elektra. Pewnie nietrudno sobie wyobrazić, że bywają między nimi spięcia. Elektra kipi energią, tak jak na to wskazuje jej imię, ale, moim zdaniem, jest niezwykle wrażliwa.

– Nie ma co, twoje siostry nadają się na fascynujące studium psychologiczne – skomentował Theo. – Która jest następna?

– Tiggy. Jest absolutnym skarbem. Skończyła biologię i przez jakiś czas pracowała naukowo w Servion, w zoo, ale potem wyjechała w szkockie góry i pracuje w rezerwacie jeleni. Jest trochę... – szukałam odpowiedniego słowa – nie z tej ziemi i ma dziwne przekonania. Czasem odnoszę wrażenie, że unosi się gdzieś między niebem a ziemią. Niestety, w dzieciństwie bezlitośnie z niej drwiłyśmy, kiedy mówiła, że słyszy głosy albo że w ogrodzie widziała na drzewie anioła.

– To znaczy, że ty w takie rzeczy nie wierzysz?

– Trzymam się ziemi. A może raczej wody – dodałam z szerokim uśmiechem. – Z natury jestem bardzo praktyczna i pewnie dlatego siostry zawsze uważały mnie za liderkę naszej małej bandy. Co nie znaczy, że odrzucam to, czego nie znam... albo nie rozumiem. A ty?

– Hm... Nigdy wprawdzie nie widziałem anioła, tak jak twoja siostra, ale zawsze czułem, że jestem pod ochroną. Zwłaszcza kiedy żeglowałem. Przeżyłem parę niebezpiecznych sytuacji, ale na razie, odpukać w niemalowane drewno, udawało mi się wychodzić z nich bez szwanku. Może Posejdon wspiera mnie, jeśli już mamy się trzymać mitologii.

– I niech tak zostanie – mruknęłam z przekonaniem.

– No to teraz opowiedz mi o swoim niezwykłym ojcu. – Theo zaczął delikatnie gładzić mnie po głowie. – Czym się zajmuje?

– Szczerze mówiąc, żadna z nas nie jest tego pewna. Ale co-
kolwiek to jest, na pewno bardzo dobrze mu idzie. Jego jacht, *Ty-
tan*, to benetti. – Starałam się wyrazić bogactwo taty językiem,
który Theo na pewno zrozumie.

– Wow! W porównaniu z nim moja łajba to jak ponton dla
dzieci – zażartował. – Widzę, że jesteś przebraną księżniczką.

– Prawdą jest, że żyłyśmy w luksusie, ale tata koniecznie
chciał, aby każda z nas sama na siebie zarabiała. Kiedy dorosłyśmy,
nigdy nie dawał nam pieniędzy, chyba że na naukę.

– Rozsądny człowiek. Jesteś z nim blisko?

– Bardzo. Jest... dla mnie całym światem... zresztą dla nas
wszystkich. Na pewno każda z nas uważa, że ma z nim jakieś
szczególne relacje, ale ponieważ mnie łączyła z nim pasja do że-
glarstwa, spędziłyśmy mnóstwo czasu tylko we dwójkę. Nauczył
mnie nie tylko żeglarstwa. Jest najlepszym, najmądrzejszym czło-
wiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałam.

– A więc jesteś córeczką tatusia. Trudno mi będzie z nim kon-
kurować. – Theo przesunął dłoń z moich włosów w dół i zaczął
gładzić szyję.

– Dosyć o mnie – uciełam. – Teraz chcę się dowiedzieć czegoś
o tobie.

– Później, Ally, później... Nawet nie wiesz, jak na mnie działa
ten twój francuski akcent. Mógłbym słuchać cię całą noc. – Uniósł
się na łokciu, nachylił się, żeby pocałować mnie w usta, a potem
już zamilkliśmy.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).